

ANDRZEJ BOGUSZEWSKI

aboguszewski@gmail.com

PROFESOR

ABSTRACT

It is impossible to describe the role of Professor Stefan K. Kozłowski in my professional formation and

my personal life. These few remembrances are only a clumsy and incomplete trial to pay homage to Him.

Keywords: Stefan Karol Kozłowski, Mesolithic, teacher

Listopad 1974. Katedra Archeologii Pradziejowej i Wczesnośredniowiecznej, drugie piętro w kamienicy przy ulicy Widok 10. Pierwszy rok studiów. Wykład z Pradziejów Polski (dwie godziny w tygodniu) odbywa się późnym popołudniem, więc za oknem jest już ciemno. Wykład prowadzi docent Stefan Karol Kozłowski. Dystyngowany, w zielonym zachodnio-wojskowym swetrze, błękitnej koszuli i granatowej, jedwabnej apaszcze. Wróciłem właśnie z pierwszych studenckich „powierzchniówek” w okolicach Iłży i mam problem. W ramach zajęć dodatkowych rysuję, a właściwie próbuję uczyć się rysować znalezione krzemienne zabytki. W większości jest to krzemień czekoladowy (przecież to Iłża) już dosyć łatwy do odczytania, ale teraz mam problem. Chodzi o niemal wykończony półwytwór czworokątnej siekiery z szarego biało nakrapianego krzemienia świeciechowskiego. Nie widzę fal, nie potrafię określić kolejności i kierunku odbić. Po wykładzie podchodzę do Pana Docenta i proszę o pomoc. Ogląda jedną ze stron siekiery pod światło i rysuje ołówkiem na negatywach odbić strzałki, do tego dodaje kilka słów wyjaśnienia. Taki był mój pierwszy bezpośredni kontakt z Profesorem Stefanem Karolem Kozłowskim – wówczas jeszcze docentem.

Później, z czasu studiów, pamiętam kilka innych nauk. Chociażby tę, którą nazwałem „trzy kupki”. Wiktor Stoczkowski przyniósł na proseminarium (trzeci rok) krzemienie zebrane przez niego na powierzchniówkach koło Swornigaci na Pomorzu. Profesor podzielił je na „trzy kupki”: „to jest na pewno”, „to prawdopodobnie”, „nie mam pojęcia, co to jest”. Dla mnie było to zachwianie mitu o wszechwiedzy profesorów i nauka, że nawet na takim poziomie erudycji i kompetencji można mieć wątpliwości, czegoś można nie wiedzieć. I można się do tego przyznać. Zasadę „trzech kupek” stosuję do dzisiaj i świetnie działa nie tylko w pracy.

Jedną z metod dydaktycznych Profesora było angażowanie studentów w prawdziwą pracę naukową.

Rezultatem jest chociażby *Atlas of the Mesolithic in Europe* (ukończony w 1977, a wydany w 1980), do przygotowania którego włączył uczestników swojego seminarium. Było to dla mnie wielkie przeżycie i wielka satysfakcja. A przede wszystkim bardzo skuteczna nauka warsztatu i bardzo cenne doświadczenie, które formuje badacza nawet na tak podstawowym poziomie jak student trzeciego roku.

Inne wspomnienie: praktyki terenowe w roku 1978. Wykopaliska w Grzybowej Górze na mezolitycznym stanowisku „Rydno”. Metoda „planigrafii w polu wg Krukowskiego”. Metoda bardzo pomocna, kiedy trzeba kopać szybko, nie ma czasu na dokładne, trójwymiarowe pomiary, a stratygrafia jest mocno zaburzona (zastosowałem ją później podczas wykopalisk ratowniczych w Descartes we Francji). Logistyka, jak to w późnym PRL-u, była skomplikowana, a mimo to wykopaliska w Rydnie stały się dla mnie wspaniałym przeżyciem. Po pierwsze, serdeczne koleżeństwo: Janusz Budziszewski, Marek Zalewski, Karol Szymczak, Jerzy Libera, Ewa Gieysztor, Grażyna Rejchert... Po drugie, kopanie – poznawanie metody, poznawanie materiału. Po trzecie: wykłady w polu, na stanowisku po przerwie, jakbyśmy to dziś powiedzieli, na lunch. Opowiadania o prahistorii, o metodyce, o archeologach Profesor kontynuował często wieczorem, przed kolacją i w jej trakcie, nawet przy wieczornych ogniskach z winem i piosenkami. Jednak zawsze, zanim „impreza rozwinęła się po studencku”, dyskretnie wycofywał się do swojego pokoju. Nie czuliśmy w tym oznaki dystansu czy lekceważenia. Prowadzenie wykładów w taki sposób, jakby opowiadał literackie historie, to istotny element dydaktyki Profesora. Świetnym tego przykładem jest Jego artykuł *Imperium atakuje* z 2007 roku (w *Contributions to the Central European Stone Age*, Wrocław). Historia powojennej polskiej archeologii opowiedziana została tam jak wczesnośredniowieczna baśń.

Profesor Stefan Karol Kozłowski zasłużył na swój tytuł nie tylko z racji wartości i objętości pracy naukowej, jej fundamentalnego znaczenia dla wiedzy o mezolicie, czy oficjalnej nominacji. On po prostu BYŁ profesorem. Nie tylko jako nauczyciel, mistrz i wzór w zawodzie, ale też jako wzór postawy w życiu. Mimo że nie przypominam sobie rozmów na tematy polityki, było coś takiego w zachowaniu, co jednoznacznie dawało świadectwo Jego poglądów. Czasami szczegół, jak chociażby wpięty w kieszeń kurtki USA Army wzór M65, przedwojenny wojskowy orzeł w koronie. Z tych powodów niezasłużenie długo czekał na profesorską nominację. W artykule *The Trial of Massive Corruption of Clever Minds* (w: *Between History and Archaeology*, 2018), pisząc o moim pokoleniu archeologów, wyraziłem opinię, że to, iż tak niewielu spośród nas dało się skorumpować mirażem kariery w zamian za zaangażowanie w komunizm, było wynikiem postawy i wzoru, jaki dawali nam nasi uniwersyteccy wychowawcy. W moim przypadku najważniejszym z nich był Profesor Stefan Karol Kozłowski. Nie pouczał, nie komentował, ale swoim sposobem bycia po prostu świadczył „jak zachować się trzeba”.

Profesor Stefan Karol Kozłowski podchodził do nas, swoich studentów, trochę też jak do własnych dzieci. Taki zresztą tytuł – *Moje dzieci* – dał jednemu z rozdziałów swojej ostatniej książki *Co przeżyłem, tom opisał* (Warszawa 2022). I rzeczywiście nam ojcował. Myślę, że pragnął widzieć nas jako swoich następców, kontynuatorów, uczniów ze Szkoły Stefana Karola Kozłowskiego. Praca magisterska, którą napisałem pod Jego dyktando, była z mojej strony w pewnym stopniu ryzykowna, bo analizowałem w niej materiały, które wcześniej służyły Profesorowi do zdefiniowania i wydzielenia kultury chojnicko-pieńkowskiej (*Pradzieje Ziemi Polskich*, PWN 1972). Założyłem sobie zweryfikowanie słuszności tezy o jedności kulturowej obu grup i poddałem te materiały analizie statystycznej użytej przez prof. Romualda Schilda w pracy *Późny Mezolit* (Ossolineum 1975). Na szczęście dla mnie statystyka potwierdziła typologiczną analizę Profesora Stefana Karola Kozłowskiego. Jednak zaakceptowanie przez Profesora takiego tematu pracy studenta daje świadectwo o Jego klasie. Po egzaminie magisterskim w 1979 roku Profesor nie zapomniał o mnie i zatrudnił przy rysowaniu dla niego materiałów krzemiennych, a wkrótce zaproponował mnie do zastąpienia w Dziale Neolitu PMA dr Anny Uzarowicz, która wyjechała na dłuższy urlop. W 1981 roku zaakceptował też jako jednego ze swoich doktorantów na UW (z Karolem

Szymczakiem i Januszem Budziszewskim). Zabierał nas ze sobą na wykopaliska we włoskich Alpach. Zorganizował mi miesięczne stypendium w Belgii (w stanie wojennym!). Dzięki temu zebrałem sporo dokumentacji do doktoratu (ponad 500 narysowanych i pomierzonych rdzeni). Niestety z biegiem czasu moje postępy w pracy coraz bardziej traciły rozpęd. Archeologia zajmowała coraz mniej miejsca w moim życiu, a coraz więcej czyniły to druk, kolportaż i redakcja nielegalnych wydawnictw. W 1985 roku rozdział pod tytułem „moja kariera naukowa w Polsce Ludowej” zakończył się aresztowaniem i kilkoma miesiącami „odsiadki” na Rakowieckiej 37. To, że trwała tylko pięć miesięcy zawdzięczam Profesorowi Stefanowi Karolowi Kozłowskiemu, który wystarał się o warunkowe zwolnienie z aresztu za swoim poręczeniem. Nigdy mi o tym nie wspominał. A ryzykował poważnie w przypadku mojego ponownego aresztowania, bo przecież wiedział, że nadal drukowałem nielegalne wydawnictwa.

Po wyjeździe z Polski w 1988 roku spotykałem Profesora dosyć rzadko, bo też rzadko i na krótko przyjeżdżałem do Warszawy, pierwszy raz w 1992 roku, już w znów niepodległej Rzeczypospolitej. Wiosną 1998 roku Profesor z żoną i synem odwiedzili mnie w mojej pirenejskiej wiosce. Profesor wykladał wtedy na uniwersytecie w Lyonie i z Olivierem Aurenche pisał książkę o neolicie Bliskiego Wschodu (*La Naissance du Neolithique au Proche-Orient ou le Paradis Perdu*, 1999). Pani dr Elżbieta Sachse-Kozłowska, dystygnowana i serdeczna, uczyła polskie dzieci w Szkole Polskiej przy Konsulacie RP w Lyonie. Elżbieta zaproponowała mi wówczas mówienie sobie po imieniu. Na taką poufałość nigdy sobie nie potrafiłem pozwolić wobec Profesora, chociaż On zawsze mówił mi po imieniu. Ich nieletni syn, Karol Kajetan, wprowadził mnie w spore zaskoczenie, kiedy po posiłku grzecznie pytał rodziców, czy może już odejść od stołu. Przedwojenna kindersztuba nadal w rodzinie obowiązywała. Później było też jeszcze niezwykle miłe spotkanie na konferencji w Orońsku w 2003 roku. Ostatni raz rozmawialiśmy w Warszawie 5 sierpnia 2016, kiedy Profesor zjawił się na moim ślubie. Niestety zbyt krótko. Później zostały tylko świąteczne kartki z życzeniami.

Profesor Stefan Karol Kozłowski jest dla mnie bardzo ważną postacią. Jest mentorem, którego charyzma miała duży wpływ nie tylko na kształt mojej wiedzy zawodowej, ale też postawy w życiu. Jeśli mógłbym jeszcze raz Go spotkać, chciałbym móc powiedzieć: **Wielce Szanowny Panie Profesorze, bardzo dziękuję.**